




Marcin Gacek

Uniwersytet Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie

 <https://orcid.org/0000-0003-3087-3999>

Socjolog i pisarz. Pomędzy groteską a społeczeństwem. Recenzja książki Szczepana Twardocha, *Wielkie Księstwo Groteski*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021

Znany pisarz Szczepan Twardoch, choć obecny przede wszystkim w wielkim świecie literatury, odwiedza też wcale często „mały świat” socjologii i aktywnie bierze udział w wielu panelach socjologicznych, by wymienić chociażby dyskusję w Teatrze Śląskim na temat korzeni inteligencji polskiej; pozostałymi jej uczestnikami byli trzej profesorowie — Ryszard Koziółek, Tomasz Zarycki, autor wespół z Rafałem Smoczyńskim głośnej w środowisku socjologicznym książki *Totem inteligencji* (Warszawa 2017), i Piotr Kulas. Należy również wspomnieć w tym miejscu o dyskusji wokół książki Piotra Kulasa *Inteligencja zaprzeczona. Etos i tożsamość młodych inteligentnych elit* (Warszawa 2017), która odbyła się w klubie Socjo-Kato podczas spotkania zorganizowanego przez profesora Adama Bartoszkę (niezrównanego gospodarza niezwykle cennej serii spotkań socjologów, serii trwającej wiele lat, której ciągłości nie przerwała nawet pandemia) — inni uczestnicy tamtego panelu to autor książki i profesor Krzysztof Łęcki. Z tym ostatnim łączy zresztą pisarza wielokrotnie podkreślana przez Twardocha w wywiadach długoletnia, zażyła przyjaźń; Twardoch dedykował mu powieść *Pokora*, istotne też zdają się w kontekście socjologicznych zaciekań autora *Morfiny*, a także odnotowane w *Wielkim Księstwie Groteski* częste przyjacielskie spotkania i dyskusje z profesorem (s. 7). Sam Łęcki również wspomina o nich w swoich pracach, także w książce, którą miałem przyjemność recenzować, tj. *Według Tukidydesa. Rozważania socjologa literatury o „Wojnie peloponeskiej”* (Katowice 2019).

Książka *Wielkie Księstwo Groteski* pisarza i absolwenta socjologii (autor sam się tak określa, np. w wywiadzie zatytułowanym *Wszystkie moje wojny*, „Newsweek” 8—14.11.2021, s. 28—31) Szczepana Twardocha niewątpliwie jest dziełem literackim. Jako zbiór felietonów (dokładnie 38) może (a nawet powinna) stać się przedmiotem analizy socjologa, zwłaszcza socjologa literatury, i to z dwóch kardynalnych powodów. Po pierwsze, choć felietony nie są klasyczną formą literatury dokumentu osobistego (w rozumieniu socjologicznym) tak jak pamiętniki czy dzienniki, to również stanowią próbę uchwycenia rzeczywistości opisanej w specyficzny, bo subiektywny i emocjonalny sposób, pozwalający wyczuć po latach kontekst kulturowo-społeczny dyskursu publicznego. Po drugie, niewątpliwie nie tylko jako człowiek pióra Twardoch zalicza się do czołowych intelektualistów w Polsce, a ze względu na swoje wykształcenie posiada wrażliwość socjologiczną opakowaną w błyskotliwy i sarkastyczny komentarz. Świadczą o tym już same tytuły jego felietonów publikowanych na stronach portali takich jak: Silesion.pl, Onet.pl, na portalu społecznościowym autora oraz na łamach miesięcznika „Pani” i „Gazety Wyborczej”, np.: *Dlaczego mamy kabaret zamiast państwa; Polska tragedia; Co dalej ze strajkiem kobiet; Żołądki Radziwiłłów*, no i tytułowe *Królestwo Obojga Histerii i Wielkie Księstwo Groteski*. Felietony — jak twierdzi profesor Bronisław Łagowski — mogą być traktowane jako coś więcej niż tylko formy krótkie zapisu, mianowicie jako sposób uprawiania naukowej analizy rzeczywistości.

Recenzję należy zacząć od felietonu, który sam pisarz młodego pokolenia wyróżnił, czyli: *Królestwo Obojga Histerii i Wielkie Księstwo Groteski*. Już pierwsze zdania manifestują stosunek autora do III RP: „Histerii królestwem jest Polska, Wielkim Księstwem Groteski. Krainą absurdu i ojczyzną chucpy, tym zaś, co Polaków przeraża najbardziej, jest wolność” (s. 72). Z tego krótkiego fragmentu wyziera nieskrywana pogarda dla kondycji państwa nad Wisłą. Czy można zarzucić Twardochowi oportunistyczną, skrajnie niezasłużoną nienawiść do Polek i Polaków, tworzącą fałszywy ich obraz? Gdy mówi o strachu przed wolnością, w pierwszej chwili łechta poglądy liberalnych środowisk, pisząc o (nie)rodakach: „Przeraża ich myśl o tym, że ludzie inni niż oni sami, na przykład geje albo lesbijki, mogliby korzystać z wolności (...)”, by zaraz podnieść im ciśnienie, stwierdzając: „Polskich przedsiębiorców przeraża myśl o tym, że dzięki 500+ wyzyskiwani przez nich wcześniej najbiedniejsi mają większy margines wolności finansowej i nie chcą już pracować za głodowe pensje” (s. 72—73). Autor rodem z Górnego Śląska w brutalny sposób podkreśla problem, o którym socjologowie pisali wiele stron — polski aspekt nędzy budującej rodzimą *underclass* (np.: E. Tarkowska, *Ubóstwo i wykluczenie społeczne. Koncepcje i polskie problemy*, red. J. Wasilewski, w: *Współczesne społeczeństwo polskie. Dynamika zmian*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2006, s. 319—365; D. Zalewski, *Ubóstwo i zamożność*, w: *Współczesne społeczeństwo polskie*, red. A. Giza, M. Sikorska, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2012, s. 573—621) lub swojski prekariat. Nawet Ci, którzy słusznie zauważali, że 500 plus nie jest programem socjalnym, musieli przyznać, że może nie zlikwidował on biedy, ale

stanowi krok w dobrą stronę, choć jego krytycy woleliby działania socjalne, a nie prodemograficzne.

Dalej felietonista od niechcenia zauważa: „Być może to zinternalizowane niewolnictwo pochodzi jeszcze z czasów szlacheckiej »złotej wolności«, czyli retoryki maskującej system kliencki, w którym szlacheckie masy, szcząc się ową wolnością, wiernie służyły magnatom” (s. 73). Uważny czytelnik dostrzeże w tym jednym zdaniu syntezę publikacji nieżyjącego profesora Wiktora Osiatyńskiego *Rzeczpospolita obywateli* podkreślającą, że w Polsce nie ma wielkich tradycji otwartego społeczeństwa obywatelskiego, lecz występuje utrwalony, kilkusetletni i wzmocniony przez II RP i PRL archetyp relacji klientystycznych i serwilistycznych. Oczywiście historyka oburzyłoby pojęcie *szlacheckie masy*, biorąc pod uwagę, że było ich mniej niż 10 procent. Ale po pierwsze, było to znacznie więcej niż w ówczesnej Europie, a po drugie, jeśli porównamy pojęcie masy do angielskiego *class*, czyli warstwy, wszystko się zgadza. Akademicki socjolog może tylko wspomnieć coś o dużym skrócie myślowym uznającym etos polskiej inteligencji za wyrastający jedynie z etosu szlacheckiego (s. 73), ale i tu znaleźć można eksperta socjologa, który się z tym poglądem zgodzi (choć nie bez zastrzeżeń). Mam na myśli Piotra Kulasa i jego przywołany wcześniej traktat *Inteligencność zaprzeczona. Etos i tożsamość młodych inteligentnych elit*.

Ciekawa jest też zgoła socjologiczna interpretacja sporu politycznego tak bardzo dzielącego polskie społeczeństwo. Szczepan Twardoch nie zadowolona się obrazowym i powszechnym (wręcz potocznym) już jego określeniem jako plemienny, w publicystyce często porównywanym do etnicznej nienawiści pomiędzy plemionami Hutu i Tutsi w Rwandzie na początku lat 90. poprzedniego wieku. Wchodzi głębiej w pamięć zbiorową i wywodzi immanentną skłonność do wrogości od sarmackich, ale przechodzących w wiek XIX sporów wielkich magnackich familii. One jeszcze przed Carlem Smithem interlokutora uznawały za najgorszego wroga. Pokonanie wraźej familii lub aliansu wielu rodów ważniejsze było nawet od istnienia ojczyzny. Przeniosło się to w czasy współczesne w dwóch wymiarach. Po pierwsze, poziom bitew i potyczek w dobie rewolucji informatycznej zastąpiła socjotechnika:

Publiczny dyskurs nie jest rozmową, lecz stanowi wymianę sformalizowanych, wszystkim dobrze znanych ciosów, a do symulacji polskiej dyskusji publicznej nie trzeba nawet sztucznej inteligencji — wystarczyłyby tu najprostsze boty, które twistowałyby swoje zaklęcia, udostępniając zaklęcia botów przyjaznych z dopiskiem „zaorane” (s. 74)!

Po drugie, rozpoznanie, demaskowanie i odpowiednio szybkie zneutralizowanie wroga jako najważniejsza działalność polityczna ma też swoją postać endemiczną w polskiej partiokracji. Najlepiej obrazuje ją pewna parafraza. Jak stopniujemy pojecie wróg? Wróg, większy wróg, kolega na karcie wyborczej.

Autor *Morfiny* prezentuje socjologiczne zacięcie również w felietonie *Żołądki Radziwiłła*, nie tylko poprzez odwołanie się do klasycznego dzieła z socjologii

autorstwa Alexisa de Tocqueville’a, *Dawny ustrój i Rewolucja* (s. 33) — choć i tu zwraca uwagę jego nietuzinkowy dobór opisu Wielkiej Rewolucji dokonanego przez francuskiego socjologa — ale przede wszystkim poprzez obserwację polskiego konfliktu pokoleń, aktualnego od tysięcy lat i występującego w każdym państwie i społeczeństwie. Twardoch trafia w punkt, dostrzegając w nim coś oryginalnego i tylko polskiego. Polskie elity — nie tylko polityczne — w III RP od czasu Leszka Balcerowicza cechował pewien dojmujący deficyt intelektualny. Nigdy nie pochyliły się one nad problemem bezpieczeństwa socjalnego (nie tylko) młodych ludzi, nieposiadających odziedziczonego kapitału kulturowego — czytaj: koneksji (s. 31) — wychodząc z założenia, iż dla nowego pokolenia najlepsze jest hartowanie podług zasady: „Co nas nie zabije, to nas wzmocni”.

Pozostawię bez komentarza felietony poświęcone tematowi stosunku Polaków do Ślązaków i odwrotnie, takie jak: *Dlaczego nie piszę po śląsku; Polityka po Śląsku czy Święto Wojska Polskiego w Katowicach*. Jest to zbędne, bo poglądy Twardocha na te sprawy stały się jego marką samą w sobie. Trzeba przy tym zauważyć, że we wszystkich formach krótkich Twardocha Śląsk albo pojawia się wprost, albo jest podmiotem ukrytym. I to, o zgrozo, im staranniej ukrywany, tym bardziej go widać. Nie mogę jednak pozostawić bez komentarza felietonu traktującego o stosunku Warszawy do prowincji, o niezwykle nobliwym w socjologii tytule *Życie seksualne dzikich* (s. 42). Trudno o nim pisać w gorsecie naukowego czasopisma. Autor — jak sam przyznaje — wyposażony w socjologiczną wiedzę o Bronisławie Malinowskim w Uniwersytecie Śląskim, nie użył do stworzenia felietonowej wersji obserwacji uczestniczącej ani wymienianych przez siebie w tekście: kilofa, powrozu do kozucha czy dwóch baryłek węgla. Nie przydała mu się — o dziwo — do tego też szpada górnicza, jeno naturalny dla pisarza instrument, czyli pióro, choć o nim w tekście nie wspomniał. Nie musiał. Tak stworzył pastisz ludu warszawskiego:

Tak trafiłem do Warszawy i wspaniałość miasta tego zaparła mi dech. Jacy piękni ludzie, piękni i mądrzy, gromadzili się na bankietach z różnych kulturalnych okazji [...]. Bywając na tych bankietach zgodnie z radami Malinowskiego skrzętnie wszystko sobie notowałem w kajeciku, na bieżąco, niestety, na rozdaniu pewnych nagród kajecik ten ktoś mi skradł, razem z kozuchem, kilofem i łapciami z łyka, co tłumaczono tym, że w Agorze bardzo obcięli wierszówkę — muszę więc teraz polegać na pamięci, a ta wiadomo, bywa zawodna (s. 43—44).

Po tym wprowadzeniu następuje niezwykle soczysta i jędrna opowieść o pisarzu Rudnickim, ruchu #meetoo itd. Mówiąc serio, ten felieton, podobnie jak inne, jest znakomity i godny polecenia. Jedna uwaga śmiertelnie poważna ciśnie się na usta. Ilu z czytelników tego zbioru dostrzegło wyłaniający się z nich pomruk prorocstwa Kasandry? Brzmi ono: jeśli, Warszavo, dalej będziesz tak traktować prowincję, już wkrótce możesz stać się wspaniałą, europejską stolicą — Wielkiego Księstwa Mazowieckiego. Wszak Pałac Namiestnikowski już masz.

Recenzować książkę Szczepana Twardocha to jak ścisnąć się, *nolens volens*, z syberyjskim niedźwiedziem. Wszak przewaga pisarza jest oczywista, choć nie wynika z monopolu na władzę ani posiadania broni, lecz z wielu lat znoej pracy, wyrzeczeń i niewyobrażalnego talentu. Ryzyko niekiedy trzeba podjąć. Czymże jest życie bez niego.

Twardoch przebojem dostał się do panteonu wielkich pisarzy. Dokonał cudu. Przebił się nie przez jeden, ale przez całe zasieki szklanych sufitów. Wywalczył sobie prawo do bycia uprzywilejowanym „chamem z Pilchowic” na warszawskich salonach, z których otwarcie szydzi. One, w swoim chocholim pląsie, są tym zachwycone. Jednocześnie nie popada w prosty patriotyzm regionalny. On, Ślązak, uznany nieomal za Polakożercę itd., w swoim zachwycającym bestsellerze *Pokora* stworzył najbardziej obrazoburczy i chyba najwierniejszy społeczno-kulturowy, ujęty w ramy historii portret Górnoślązaka. Jest nim Alojzy Pokora, zgermanizowany Wawerpolak, a więc Europejczyk, najpierw wpatrujący się w hipnotyzującego, a zarazem niezdołyte kroczki arystokratki niemieckiej, w samym centrum Germanii — w Berlinie — a potem ciągle do niego skomlący. A Ślązacy z Kattowitz, Głiwizt, Mysłowicz i innych miast i miasteczek o skomplikowanej historii terenów przygranicznych noszą twórcę za to na rękach. Inny bohater tej samej powieści mówi: „Niemcy muszą umrzeć, żebyśmy mogli żyć my”. I Niemcy Twardocha hołubią. I nie jest to żadna złośliwość.

Wielkie Księstwo Groteski to zbiór felietonów — nie dzieło *stricte* socjologiczne. Pytanie, na ile odebrane wykształcenie z zakresu nauki o społeczeństwie odcisnęło piętno na diagnozach i prognozach Twardocha, pozostaje otwarte i jako takie może stać się przedmiotem odrębnych studiów z obszaru socjologii literatury, choć nie tylko. Niemniej jedno można stwierdzić już dzisiaj — teksty publicystyczne Szczepana Twardocha (z wykształcenia socjologa) mają nieporównywalny z żadną inną produkcją socjologiczną rezonans. I nie idzie tylko o najważniejsze tytuły polskie, ale także np. o „Die Welt” czy „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Fakt ten nie powinien umknąć uwadze przedstawicieli nauki o społeczeństwie.